

Nowy, wspaniały świat

Selim Kryczyński

Tytuł zaczerpnąłem od Aldousa Huxleya, który w 1931 roku napisał taką powieść. Przyznaję, że tej książki nie czytałem. Znam tylko tytuł i przeczytałem sobie coś o niej w Wikipedii. A ten obecny świat jest rzeczywiście całkiem nowy. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że wszyscy przecież doskonale pamiętamy czasy, w których w Polsce w ogóle nie było telewizji! Bodźcem do napisania tego tekstu stały się wynurzenia Jurka H. na naszej jeszcze wiszącej tablicy, że te obecne piosenki są jakieś takie nie nasze. Otóż nie tylko piosenki, moi mili. Z piosenkami można by jeszcze sobie poradzić. Ja, na przykład, mam kolekcję płyt, w której jest też trochę tych piosek pamiętanych jako bardziej „nasze”. Miałem tego kiedyś więcej. Już jako ponad trzydziestoletni facet kupiłem sobie magnetofon ZK-140T i nagrywałem na nim piosenki, które mi się podobały – i te z dawniejszych lat i te bardziej współczesne. Były wtedy w radiu różne audycje, również i takie, w których nadawano piosenki w sposób umożliwiający ich nagrywanie. Pamiętam, na przykład, taką audycję Eugeniusza Pacudy na Trójce. Dziś chyba takich audycji już nie ma, bo mogłyby zaszkodzić interesom wydawców płyt. Piosenki, czasem nawet zupełnie dobre, przerywane są kwestiami prowadzących audycje, którzy głosami pełnymi nieuzasadnionej emocji wykrzykują różne bzdury. Nie ma też już dawno sprzętu, na którym takie amatorskie nagrania można by odtworzyć. Rządzą nieubłagane prawa rynku, a nasi rówieśnicy nie są na tym rynku grupą, która stanowiłaby godny uwagi target. To słowo, to też przejaw tego nowego, wspaniałego świata.

À propos języka, oto próbka – rodzaj motta do artykułu Katarzyny Zachariasz-Podolak „Sen o jednoroźcu” (Polityka, nr 18 z datą 3 maja 2016): „Są gotowi pracować 12 godzin na dobę. Będą bootstrapować* i robić pivoty. Nauczą się pitchować i generować leady. Wszystko, aby zostać jednoroźcami”. Mimo niezłej znajomości angielskiego nie rozumiem, o co tu chodzi. A to zresztą podobno po polsku.

W czasach, kiedy byliśmy klasą w XIV Liceum zdarzało mi się chodzić na różne imprezy sportowe, w tym na mecze piłki nożnej. Chodziło się wówczas oglądać grę piłkarzy. Owszem, udane akcje, a zwłaszcza zdobyte bramki witano przeciągłym wrzaskiem, a nieudane zagrania lub nieakceptowane decyzje sędziego kwitowano gwizdami. Zdarzały się, choć rzadko, jakieś ekscesy. Teraz na widowni stadionu bałbym się pokazać. Wybuchają tam regularne bitwy. Kibice zajmują się różnymi rzeczami. Jedni walą w bębny, inni dmą w wuwuzele lub inne trąby, jeszcze inni rozciągają nad widzami olbrzymie transparenty, które zasłaniają widok boiska, od czasu do czasu wszyscy zajmują się organizowaniem „meksykańskiej fali”, zawsze też znajdują się tacy, którzy odwróceniem tyłem do boiska zawzięcie dyrygują spektaklem odbywającym się na widowni. Mecz piłkarski jest tylko pretekstem do organizacji widowiska, które często kończy się ogólną bijatyką. Kibolom, bo tak nazywa się tych rzekomych fanów piłki nożnej, nawet i tego mało. Poza stadionami organizują tzw. „ustawki”, to znaczy umawiane bitwy między zwolennikami różnych klubów. Pojedynczo lub w małych grupkach kibole rzną się maczetami albo naparzają kijami bejsbolowymi. Z takich krwawych porachunków słyną, na

przykład, krakowscy kibole, fani „Wisły” lub „Cracovii”. Kluby nie tylko tego nie tępią, ale wręcz popierają ten ruch kibolski, bo przysparza on im fanów i uczestników widowisk, którzy płacą za bilety i wspierają klubową kasę. A od tej kasy zależy nawet i to, czy klub będzie mógł pozostać w ekstraklasie. Decydują o tym nie tylko wyniki sportowe i pozycja wśród klubów na każdym szczeblu rozgrywek, ale właśnie stan finansów klubu. Te kibolskie ekscesy zaczęły być tak dokuczliwe, że nawet entuzjasta „haratania w gałę”, premier Donald Tusk, próbował jakoś to opanować. Dawna opozycja, a dzisiejsza partia rządząca wzięła tych biedaków pod swoje skrzydła widząc w nich rzeszę zasilającą swój elektorat. Mało tego, całkiem niedawno jeden z prominentnych ojców paulinów błogosławił ten dziki tłum zgromadzony u podnóża Jasnogórskiego sanktuarium.

Innym aspektem tematu „sportowego” jest atmosfera, jaką buduje się w mediach wokół samochodów, głównie, ale nie tylko, dzięki treści reklam. Zawsze uważałem i nadal uważam, że samochód to środek transportu, który pozwala przejechać lub przewieźć coś z punktu A do punktu B, przy czym powinno się to odbywać przede wszystkim bezpiecznie, po drodze rozsądnie komfortowo, a po trzeciej w sposób opłacalny. Tymczasem okazuje się, że samochód to przede wszystkim maszyna do produkcji adrenaliny! Ja nawet rozumiem, że są ludzie, którzy bez tej nadmiernej adrenaliny żyć nie potrafią. Niech więc wyżywają się na torach wyścigowych lub na trasach rajdowych, natomiast niech pozwolą innym użytkownikom dróg publicznych poruszać się na tych drogach bezpiecznie i zgodnie z przepisami o ruchu drogowym i zdrowym rozsądkiem. Są też

przecież i inne rodzaje sportów ekstremalnych, których uprawianie nie zagraża życiu i bezpieczeństwu innych ludzi – np. wspinaczka wysokogórska. Niestety to, co pisze się i mówi się w mediach o samochodach, skłania wielu młodych ludzi do brawurowych popisów na drogach publicznych. A potem przy tych drogach stoją krzyże i płoną znicze, często upamiętniające śmierć przypadkowych ofiar tych wybujałych temperamentów.

Zmieńmy temat i przejdźmy na całkiem inny bieg, mianowicie do spraw kultury i sztuki. Będę się tu wypowiadał oszczędnie i ostrożnie, bo zdaję sobie sprawę ze swojej ignorancji. Jako tako rozsądnie mogę się wypowiedzieć tylko o literaturze. Odnoszę wrażenie, że współczesna powieść jest zupełnie inna niż twórczość nieco dawniejsza. Bohaterowie dawniejszej literatury wyrażali swoje idee i swoje postawy przez swoje działanie i przez swoje wypowiedzi. Reagowali na to, co dzieje się wokół nich słowem lub czynem. Czytelnik może sobie na tej podstawie wyobrazić ich przeżycia i odczucia. We współczesnej powieści często tę rolę przejmuje do końca autor analizując dogłębnie przy użyciu mnóstwa mniej lub bardziej fachowych terminów psychikę bohaterów, ich myśli, ich dusze. Często nic się tam nie dzieje i nic się tam nie mówi. Czyta się to często jak dość mętnie napisany podręcznik psychologii, czy wręcz psychiatrii. Bywa to po prostu męczące lub przynajmniej nudne, bo znacznie ogranicza interakcję z czytelnikiem. Nie zostawia też żadnego pola dla własnej wyobraźni czytelnika. Podobnie bywa ze sztuką teatralną. Tu mam znacznie mniejsze rozeznanie, bo od dawna nie bywam w teatrze. Czasem tylko słysząc lub czytając coś o inscenizacjach znanych dramatów myślę, że twórcy

tych inscenizacji powinni raczej napisać coś swojego, a nie brać się za przekręcanie tego, co autorzy tych dramatów mieli do przekazania. Po prostu chodzi o odrobinę szacunku dla dawnych twórców, którzy już nie żyją i nie mogą bronić swoich dzieł przed ingerencją „nowoczesnych” reżyserów. Sztuki plastyczne to zupełnie oddzielna sprawa, bo zostawiają olbrzymie pole dla wrażeń estetycznych i interpretacji. Nie jestem programowo przeciwny sztuce abstrakcyjnej. Są dzieła tej sztuki, które budzą we mnie pozytywne doznania. Kiedyś nawet za spore pieniądze kupiłem taki obraz i wisiał on w naszym domu przez lata. Bywa jednak, że myślę, patrząc na jakieś dzieło sztuki, że tak naprawdę jego autor nie miał nic do przekazania, a pochwały, nawet z ust uznanych krytyków, mogą być tylko wyrazem snobizmu. Wszyscy przecież znamy baśń Andersena o szatach cesarza i tylko brakuje tego dziecka, które krzyknie, że król jest nagi! Film jest jedną z nowszych dziedzin sztuki. Widać tu, oczywiście, postęp techniczny, który uwidocznił się głównie po wprowadzeniu technik komputerowych umożliwiających wzbogacenie asortymentu i widowiskowości tzw. efektów specjalnych. Zyskało na tym przede wszystkim tzw. kino akcji, które nie wydaje się szczególnie obiecującym gatunkiem, jeśli chodzi o wartość artystyczną.

Nadzieję każdego pokolenia jest młodość. W naszych czasach licealnych i nieco później to my byliśmy tą nadzieją. Jak to wygląda dziś? Ważne przyczynki do tej oceny znajdziemy w cytowanym już 18 numerze tygodnika „Polityka” z datą 3 maja 2016. Jest to wywiad z prof. Tomaszem Szlendakiem, socjologiem z Torunia zamieszczony pod tytułem „Popnacionalizm” oraz artykuł trójki autorów

(Mikołaj Cześnik, Agnieszka Kwiatkowska i Radosław Markowski) pod tytułem „Między nami ignorantami”. Ten drugi tekst ocenia (przeprowadzono szerokie badania socjologiczne) wiedzę polityczną polskiego społeczeństwa. Ocena wypada kiepsko i, niestety, jedną z najgorzej poinformowanych grup okazują się najmłodsi badani (18-24 lata). „Niski poziom wiedzy politycznej łączy się z podatnością na populizm i demagogiczna propagandę” – piszą autorzy artykułu. W naszej obecnej rzeczywistości skutkuje to wzrostem wpływów radykalnej ideologii nacjonalistycznej oraz powierzchownej religijności. Wystarczy przypomnieć sobie demonstracje młodych z Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR) organizowane głównie z okazji Dnia Niepodległości, a także bardzo niedawny pokaz siły ONR w Białymstoku połączony z mocnym ideowym wsparciem przez kościół w osobie słynnego księdza Międlara. Wprawdzie oficjalna hierarchia kościelna szybko to poparcie wycofała, ale efekt jest taki, jak zawsze w tego rodzaju sytuacjach – co się stało, zostaje w pamięci. Zresztą we Wrocławiu inny ksiądz też asystował przy paleniu kukły Żyda, czemu towarzyszyły głośno wykrzykiwane i jednoznaczne w swej wymowie ksenofobiczne i skrajnie nacjonalistyczne hasła. Z kolei w Łodzi na ulicach pojawiły się „społeczne” patrole ONR w paramilitarnych strojach i z białoczerwonymi opaskami na rękawach. Można mieć nadzieję, że to im (młodym) przejdzie jak wydorosłe. Tak stało się, na przykład, ze zbuntowanym w późnych latach 60-tych XX wieku pokoleniem młodych. Wielu z nich było do niedawna prominentnym członkami politycznego establishmentu. Tym niemniej groźnie w tej sytuacji brzmią słowa jednej z ballad Bułata Okudźawy, że „źle stuleciu z oczu patrzy”.

Tamto zbuntowane pokolenie młodych z lat 60-tych wychowywało się w zupełnie innych warunkach. Mieli o co walczyć, zwłaszcza u nas. Wszyscy przecież pamiętamy wystąpienia studenckie w 1968 roku w obronie wolności myśli i wolności słowa. Iskrą zapłonową stało się zdjęcie z afisza dejmkowskich „Dziadów”. Dziś wolność już jest, jest dana, więc nie ma się o co bić. Można swobodnie podróżować, można swobodnie wyrażać poglądy. Zamiast dawnych ideałów młodzieży zręcznie podsunęto zgrane już, ale widocznie ciągle jeszcze atrakcyjne hasła: Polska katolicka, Polska dla Polaków, Wielka Polska, Międzymorze, żołnierze wyklęci itp. itd. Młodzi uczą się głównie z tego, co nazywa się mediami społecznościowymi, serwisami, czy portalami społecznościowymi. Głównym z nich jest popularny Facebook. Moja wiedza o tych mediach oparta jest wyłącznie na relacjach prasowych lub prywatnych. Wiedza ta jest przerażająca. Te portale, czy komunikatory, czy jak tam się to nazywa zostały zapewne stworzone jako pola do wymiany myśli, poglądów. Nie ma tam już prawie żadnych myśli. Jest natomiast obfitość „hejtów” i „lajków”. Jest paskudny język. Krótko mówiąc, jest to doskonała szkoła głupoty i nienawiści. Służy to też doskonale wychowaniu „ciemnego ludu, który to kupi”. Podobną szkołę propagandy i polemiki prezentuje się zresztą oficjalnie w niektórych mediach i publicznych wystąpieniach polityków. Garść przykładów. Jeśli ktokolwiek spróbuje wystąpić w obronie obecnie obowiązującej ustawy dotyczącej aborcji zostawiającej furtki dla szczególnych przypadków, zaraz zostaje okrzyknięty „zwolennikiem aborcji”. Wystąpienia prezesa i jego popleczników są pełne rozmaitych inwektyw. Wszyscy, którzy myślą inaczej to funkcjonariusze ZOMO, a nawet gestapo,

agenci SB, obywatele gorszego sortu, nie-Polacy, dzieci resortowe, komuniści, złodzieje i mordercy.

Na koniec zostawiłem sobie osobę samego prezesa. Napisano o nim wiele i, oczywiście, różnie. Dość dobrze jednak w sedno trafia niżej przytoczony cytat z ponad stuletniego dzieła:

„Sprawiedliwością, prawem i wiernością dla Rzeczypospolitej jeszcze się osłaniał, bo nie wiedział, że te pojęcia, jako czcze wyrazy, mógł już deptać. Wszelako w miarę sił wzrastał w nim i ów niezmienny, bezwiedny egoizm, któremu równego historia nie przedstawia. Pojęcia złego i dobrego, zbrodni i cnoty, gwałtu i sprawiedliwości zlały się w duszy Chmielnickiego w jedno z pojęciami własnej krzywdy lub własnego dobra. Ten mu był cny, kto był z nim; ten zbrodniarz, kto przeciw niemu....Ludzi, wypadki i świat cały mierzył własnym ja. I mimo całej chytrości, całej hipokryzji hetmana była jakaś potworna dobra wiara w takim jego poglądzie”. Cytat pochodzi, oczywiście, z powieści Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”. Wstawcie sobie jednak nazwisko Kaczyński w miejsce nazwiska Chmielnickiego i słowo „prezes” w miejsce słowa „hetman”, a tekst po uwspółcześnieniu języka mógłby ukazać się w którymś ze współczesnych czasopism.

Naszego świata już nie ma. „To se ne vrati”, jak mówią bracia Czesi. „Co było, to było. Minęło, jak miłość. Przelśniło, prześniło, wyśniło się do dna”, jak napisał Bułat Okudźawa (przekład Agnieszki Osieckiej). Oczywiście, jest nowy, wspaniały świat. Jest, oczywiście, lepszy. Zdobycze nauki i techniki znakomicie ułatwiają nam życie i usprawniają działanie.

Leczymy skutecznie mnóstwo chorób, na które kiedyś ludzie masowo umierali. Mamy swobodny i masowy dostęp do zdobyczy techniki i kultury. Ale czy potrafimy z tego korzystać?

w maju 2016

* [MB:] Autorom z całą pewnością chodziło o bootstrapping. Zetknąłem się z tym słowem pod koniec lat 70-tych w dokumentacji minikomputera Wang. Była to szafa o wysokości 2 metrów, miała pamięć operacyjną 64 Kb i wymienne twarde dyski o pojemności 5 Mb (sic!) i średnicy ok. 50 cm. Teraz byle smartfon ma 16 Gb pamięci operacyjnej. Świat się zmienia, a my nie nadążamy...

1 Kb = 2^{10} = 1 024 bajty,
1 Mb = 2^{20} = 1 048 576 bajtów,
1 Gb = 2^{30} = 1 073 741 824 bajty.

8-bitowy bajt może przyjąć 2^8 = 256 różnych stanów.